

Dawid Juraszek

Oko za oko

Pierwodruk w miesięczniku Science Fiction, Fantasy i Horror”

© Dawid Juraszek

www.fantastykapolska.pl

- Nie mogą ich panowie po prostu zdemontować?
- Ekspens zbyt wielki. Wysadzić najłatwiej i najszybciej.
- Może chociaż turbiny? Nie przydadzą się nikomu?
- Stara technologia. Zresztą tu i tak tylko o odzyskanie rzadkich metali chodzi.
- Zbytek...

Wszyscy troje opierali się o maskę dwuosobowego forda T-1000. Standardowy matowoczarny lakier kabrioletu pozostawał chłodny nawet w skwarnej dzień. Ku krystalicznie błękitnemu niebu mierzyły wyniośle nieruchome sylwetki aerogeneratorów.

– Na to musiałyby zostać postawione przed rokiem dwutysięcznym. Dziś to po prostu przestarzały *junk*, zdatny tylko na przetop.

– Skoro tak musi być...

– Przecież sami się do nas zgłosiliście.

– Pan wie, że z musu. Komisja dała na rozbiórkę dwa lata, my mogliśmy tylko wybrać pasujący nam termin, bo inaczej koniec ulgi rolnej. No to wybraliśmy.

– Zarabialiście jakoś na nich?

– A widzi pan tu gdzieś linie przesyłowe? Kiedyś wzdłuż każdej ulicy ciągnęły się takie kable na słupach, a teraz nic. Od lat działała tylko jedna turbina, wykręcała akurat tyle, żeby zasilać te ich światełka ostrzegawcze...

– *So?*

– Pan za młody jest, nie zrozumie...

Ekipa zakładająca ładunki dała sygnał, że zadanie zostało wykonane. Żółte owerole zaczęły wracać na drogę po drugiej stronie pola, szukając schronienia pośród czerniącego się tam w oczekiwaniu na swoją kolej ciężkiego sprzętu.

– Kasia, Tomek, załóżcie. – Protazy wyjął nauszники z teczki i podał małżeństwu. Odkąd rozbierając jedną z farm wiatrowych na Jurze, omal nie został podany do sądu przez nerwowego klienta o nazbyt wrażliwym słuchu, nie rozstawał się z kilkoma parami. – Przydadzą się.

Skinęli w podzięcie głowami. Kiedy odwrócili wzrok ku skazanym na zagładę turbinom, dyskretnie przyjrzał się farmerom kątem oka. On wyglądał na jakieś sto lat, ona, być może dzięki makijażowi, na nieco mniej. W młodości mogli być świadkami budowy beskidzkich elektrowni wiatrowych. Jeśli tak, musieli jeszcze pamiętać Kotlinę Żywiecką sprzed zalania. Ludzie starej daty, pomyślał, przeskakując wzrokiem od ich oczu do dłoni. On miał szare tęczówki, ona brązowe, a mimo to wymienili się obrączkami.

Cisza przed eksplozją zgęstniała, tylko ostatni działający wiatrak z nieprzyjemnym szumem mieszał miarowo powietrze. Zdezelowane urządzenie mimo wysiłków techników nie dało się unieruchomić, trwając w machinalnym uporze.

Nadaremno.

Pierwszy wybuch nie był ogłuszający, lecz nauczony doświadczeniem Protazy błyskawicznie wetknął sobie palce w uszy. Kiedy błysnęły kolejne ładunki, powietrze zadrzęło. Jeden po drugim potężne słupy padały na trawę z metalicznym jękiem i głuchym hukiem. Fala dźwiękowa pędziła ku pobliskim masywom Szyndzielni, Stołowa i Cybernioka, niosąc ponurą wieść sterczącym na graniach aerogeneratorom, by zaraz wrócić ponurym echem. Na nie też przyjdzie kolej, myślał Protazy, przemyskując wzrokiem po armii wiatraków stojących wciąż na baczność na garbatych szczytach Beskidu Małego i Śląskiego. Ale to już nie nasz kontrakt...

Ostatni padł działający aerogenerator. Słup wykrzywił się kaleko, wirujące wciąż bezpotrzebnie śmigło rąbnęło w grunt i wiatrak runął z finalnym łoskotem. Gdyby nie wczorajszy deszcz, który zrosił świeżo zżęte pola, okolicę gęstą chmurą spowiłby kurz.

Protazy przypomniał sobie zeszłoroczną rozbiórkę farmy wiatrowej w Darłowie i poczuł w ustach smak piachu.

– I to by było na tyle – westchnął Tomek, zdejmując nauszники.

– Taki młody już nie jestem – uśmiechnął się Protazy, chowając je do teczki. – Chętnie posłucham. Zawsze warto wiedzieć więcej o klientach.

– Sentyment – odezwała się Kasia, patrząc na splądrowane pole agrykulturalno-aerogeneracyjne. – Jako studenci patrzyliśmy, jak to wszystko się buduje...

Aha! przyklasnął sam sobie Protazy.

– Tu się szło na wagary – wtrącił Tomek, przytulając żonę. – Modne to było miejsce, że hej.

– Jak te śmigła wtedy pięknie lśniły w słońcu...

– A jak szumiały! Strach było pod tym siedzieć, człowiek miał wrażenie, że zaraz się cała maszyna rozleci!

– Ale wtedy wszyscy sobie wmawialiśmy, że tak właśnie brzmi nowy, wspaniały świat...

– Wie pan, tu kiedyś było lotnisko – przerwał znów żonie Tomek. – Startowali stąd najlepsi na świecie szybownicy...

– Szybownictwo to bardzo ekologiczny środek transportu – skinął głową Protazy.

– Wszystkim było szkoda tej tradycji – podjęła Kasia – ale wszędzie się mówiło, że farmy wiatrowe to przyszłość, że trzeba zadbać o planetę...

– Jedna wielka ściema! – Tomek zirytował się, jak gdyby otworzyła mu się rana po jakimś dawno przegranym sporze. – Wie pan, ja wtedy jeszcze dużo po górach chodziłem. Serce mi krwawiło, jak wycinali drzewa i ryli zbocza pod te turbiny. Ale wszędzie była mowa, że będzie czysty prąd elektryczny, że trzeba iść z duchem czasu, że krajobraz nawet zyska i takie tam... No to zagryzałem zęby i nic nie mówiłem, choć człowiek pamiętał jeszcze opowieści rodziców i dziadków, jak to za tamtych czasów zachwycono się kombinatami i fabrycznymi kominami, że niby tak się lepszą przyszłość buduje...

– To samo mówili, gdy zalewali Kotlinę Żywiecką – przejęła pałeczkę Kasia. – Pamiętam, jakie tłumy były w Żywcu w parku zamkowym dzień przed zamknięciem całej kotliny. Wszyscy mieli łzy w oczach, ale powtarzali, że tak trzeba, że ekologia, że przyszłe pokolenia i tak dalej.

– I co? – Tomek pytał na pozór Protazego, ale tak naprawdę jakiegoś dawnego oponenta. – Minęło kilkadziesiąt lat i wszystko trzeba grzeczniutko rozbierać, bo postęp poszedł w inną stronę. A te wioski i miasta kto teraz odbuduje? Kto górą przywróci pierwotny charakter? Nikt!

– Więc raczej powinniście się cieszyć, że wam te dyzgustne turbiny usuniemy z pola – zauważył Protazy, z trudem maskując rozbawienie przebrzmiałymi dylematami ustępujących pokoleń.

– Tak jak mówiłam, sentyment – powtórzyła Kasia. – To jednak kawał historii.

– Wie pan – wzruszył ramionami Tomek – żal patrzeć, jak wszystko jest teraz rozwalane. To kiedyś była ultranowoczesna technologia. No i skoro już raz tyle zniszczono, żeby je postawić, to teraz niszcząc z kolei je, odbiera się wszelki sens tamtemu poprzedniemu niszczeniu. Za chwilę nic już z dawnych czasów tu nie zostanie...

Absurd, pomyślał Protazy, ale dla świętego spokoju tylko pokiwał głową. Niech sobie tam dziadek gada, co chce. Skoro mu to pomaga żyć...

– Przesadzasz, skarbie – uśmiechnęła się Kasia. – Zboże zawsze tu rosło i nadal rośnie.

– Niby racja – skrzywił się Tomek. – To znaczy kiedyś niewiele brakło, żeby przestano te pola obsiewać, że niby nieopłacalne, ale potem się okazało, że bez rolnika świat zginie. I teraz niech pan patrzy, łąnow zboża jak przed wiekami!

– No proszę, jak to wszystko teraz wraca! – zaśmiał się sztucznie Protazy. Rozmowa

zaczynała go nużyć. Czemu Józef nie przyjeżdżał?

– A tam było osiedle mieszkaniowe... – Kasia powiodła ręką wzdłuż linii horyzontu.

– Nadal jest. – Protazy rzucił okiem w kierunku nieodległych szeregów bazaltowoczarnych budowli o ścianach i dachach nachylonych w pozornie bezładny, a naprawdę przemyślnie dostosowany do wędrówki słońca sposób.

– Tylko że wtedy to były kanciaste wieżowce – wyjaśniła. – Jedne jasnoszare, inne pstrokato pomalowane. Pamiętam, że wszyscy na nie narzekaliśmy, ale dziś...

– Rozumiem was perfekcyjnie – przytaknął Protazy, ze słabnącą dyskrecją rozglądając się za samochodem Józefa.

Na szczęście w tym momencie z daleka doleciał szum elektrycznych silników wielkiej mocy – ciężki sprzęt miał wnet ruszyć na pobojuwisko, pierwszy z dźwigów podjeżdżał już po szczątki turbiny leżącej najbliżej drogi. Tylko ciężarówki czekały jeszcze cierpliwie na swoją kolej.

– Na mnie już czas. – Protazy podniósł się z maski i otworzył drzwiczki kabrioletu. – Obowiązki wzywają. Do piątku teren będzie – zawahał się przez moment – jak przed wiekami.

– Dziękuję panu serdecznie. – Kasia podała mu rękę. Nie lubił staroświeckich zwyczajów, ale odwzajemnił uścisk z całą uprzejmością, na jaką było go stać. – Wiem, że teraz po zbiorach jest dużo zleceń i jestem naprawdę wdzięczna, że zgodzili się panowie na nasz termin.

– Nie dziękuj – potrząsnął głową Protazy. – Agencja Rozbioru Ekoprzemysłu płaci nam właśnie za pomaganie ludziom takim jak wy.

– Miło się rozmawiało – uśmiechnął się Tomek. Protazy przełamując opór, z własnej inicjatywy podał mu dłoń.

– *Good luck!* – rzucił, wsiadając do auta.

– Do widzenia!

W lusterku ujrzał jeszcze, jak Kasia i Tomek machają mu, a potem fordem lekko zarzuciło, gdy wziął zakręt na powgniatanej gąsienicami ciężkich maszyn drodze, zmierzając na drugą stronę pola. Porywy wiatru rozwiały Protazemu włosy, kazały zmrużyć oczy. Wziął kolejny zakręt i uśmiechnął się, widząc pomarańczowy hełm wystający ponad także kaski robotników. Po uszy w robocie, a ja się domagam, żeby tylko o mnie pamiętał, pomyślał, parkując obok śpiącego jeszcze olbrzymiego spychacza. Wsiadł i oparty o maskę czekał, aż jego partner skończy odprawę.

Na widok forda Józef wydał robotnikom ostatnie polecenia, zdjął kask i drapiąc się po głowie, podszedł szybkim krokiem.

– Ciekawe, czy na starość będziemy skuwać z dzisiejszych budynków tynki fotoelektryczne – zaśmiał się Protazy na powitanie.

– Tak – półgębkiem uśmiechnął się Józef i nerwowo skubnął się w lewy bokobród. – *Listen*, jadę do biura. Jest jednak szansa na ten kontrakt, muszę mieć na wszystko oko.

Protazy zawahał się przez moment.

– *Great news* – rzucił wreszcie. – Ale co, mam lecieć nad Milówkę sam?

– Jak chcesz... – Józef wzruszył ramionami. – Albo zmontuj nowe meble.

– Preferowałbym z tobą.

– Mówię ci, że muszę być w biurze. – Józef podniósł głos; w tej samej chwili stojący obok spychacz ożył. – Miej ich tu na oku.

– Co, już? – Protazy uniósł brwi.

– No a kiedy? Agencja nie może czekać.

– Okej.

– *See you.*

– Do wieczora.

Odwróciwszy się, Józef ruszył sprężystym krokiem do smolistocznego FSO-CWS 7 torpeda. Protazy patrzył za nim dłuższą chwilę, a potem niechętnie sięgnął do wnętrza forda, wyjął kask i nałożywszy go, poszedł między maszyny.

– Mściwosz! – zawołał na widok mężczyzny pochylonego nad lśniąca płytka komputera. – Status?

Brygadzysta podniósł wzrok.

– Wszystko gra, praca wre!

Protazy skinął głową i cofnął się, gdy minikoparka zjechała z drogi pomiędzy padle aerogeneratory, a potem ruszył z powrotem do samochodu. Kręcić się na placu rozbiórki nie lubił; to był żywioł Józefa, zresztą ekipa doskonale znała się na swojej robocie. Pozostawało mu zająć się zaległą korespondencją – albo lecieć nad Milówkę.

Przystanąwszy obok forda, spojrzął ku ciemnej ścianie zapory żywieckiej. Gargantuiczna tama całe dziesięciolecie przegradzała Bramę Wilkowicką między Kozią Górą a zboczami Magurki, powstrzymując ogrom wezbranych wód przed pochłonięciem Bielska-Białej i wytwarzając dość energii elektrycznej, by zasilić całą okolicę jak okiem sięgnąć. Teraz jej dni były policzone, a Protazy i Józef oraz wielu innych przedsiębiorców stało już w blokach startowych, by zająć się rekultem osuszanego terenu pod przyszłe uprawy agrykulturalne.

Protazy otworzył drzwi forda. Wystarczyło podjechać na miejskie lotnisko, wynająć na kwadrans lotowiec i obejrzeć rejon w okolicach dawnej wsi Milówka, z lotu ptaka sprawdzając postępy w osuszaniu terenu. Zrobili tak w zeszłym tygodniu z Józefem i widok ziemi wyłaniającej się spod błotnistej toni między wzgórzami natchnął Protazego entuzjazmem, który trwał aż do dziś. Teraz jednak perspektywa samotnego rekonesansu, zwłaszcza po niemile zdawkowym pożegnaniu z partnerem, napawała go niechęcią. Może jutro albo pojutrze, pomyślał, a potem wsiadł do samochodu i zaciągnąwszy dach, włączył komputer.

Stuknięcie w okno podziało jak ukłucie szpilką. Podniósłszy wzrok znad płytki, obniżył szybę. Zapachniało ziemią.

– Zadanie wykonane! – ogłosił Mściwosz.

– Tak szybko? – Protazy zamrugał i spojrzął na zegar. Skupiony na pracy stracił poczucie czasu.

– Najcenniejszy złom załadowany. Rozpoczynamy wywózkę. Na terenie zostaje tylko ekipa finalizująca.

– *Good job!* – Protazy prędko odzyskał orientację. – Dacie sobie radę beze mnie?

– Damy.

– To ja znikam.

– Miłego wieczoru!

Pożegnał brygadzystę skinieniem głowy i wyłączywszy komputer, uruchomił silnik. Niebawem jechał już do domu w Romskim Lesie.

Popołudnie robiło się coraz późniejsze, wręcz przechodziło już w wieczór, gdy wjechał między tamaryszki okalające zabytkową willę, nad której betonowym gankiem z kolumienkami widniało dumne „1996”. Przetwarzając blisko 99 procent światła i ciepła sadzową czerń tynków i dachówek przełamywał modny lilaróż futryn.

Kiedy wstąpił do środka, rozbrzmiła muzyka, ale nie zamaskowało to faktu, że dom świeci i dźwięczy pustką. W holu stały pudła z przysłanymi niedawno meblami, które czekały na montaż, lecz Protazy na ich widok tylko się skrzywił. Wrzucił zakurzoną frakówkę do aeropralki, wziął długi prysznic, a potem usiadł w kuchni i zaczął

przygotowywać kolację. Miał już zatwierdzić menu, gdy poczuł, że dzwoni telefon.

– Mamy kontrakt – rzucił Józef zamiast powitania.

– Ekscelemencie! – Protazy zerwał się z fotela. – Na który Beskid?

– Śląski i Mały. Żywiecki i Makowski dostał Rekultywator, a Niski, Sądecki i Wyspowy Hindusi.

– Aj! *What a shame...*

– No niestety. Staralem się o więcej, ale w agencji uznali, że dwa to maksimum.

– Ale i tak nie jest źle. A podali jakiś powód?

– Niemożność wykonania całości planowych działań w planowym czasie przez jeden podmiot.

– W sumie racja – zaśmiał się Protazy. – Na cały Beskid nie starczyłoby nam ludzi, czasu...

– *Exactly.*

– Ale jeśli się spiszemy, będziemy mogli śmiało ubiegać się o kontrakty na rekt Schwarzwaldu...

– Za wcześniej na takie plany.

– ...a potem to już tylko wziąć się na serio za elektrownie przybrzeżne! – zapalał się Protazy. – Duńczycy podobno mają wkrótce zdecydować, że zamiast utrzymywać nieaktualny symbol dawnej progresywności ekologicznej...

– ...wołą odzyskać utopione w farmach wiatrowych rzadkie metale – dokończył niecierpliwie Józef. – To samo Szkoci z płytówkami. Słyszeliśmy identyczne plotki. Tak czy owak za wcześniej o tym mówić.

– Tak czy owak to trzeba by sukces oblać! Kiedy będziesz?

Milczenie trwało okamgnienie dłużej, niż powinno.

– Jutro po południu.

– Co? – zdumiał się Protazy.

– Zanim się z tym wszystkim pobieram, będzie północ, a rano mam następne spotkanie w agencji. Prześpię się w mieszkaniu. Po to je w końcu kupiliśmy – wyrzucił z siebie Józef jednym tchem.

Teraz to Protazy zamilkł na moment, a potem westchnął.

– Co się dzieje, Józek?

– Co „co się dzieje”? Nic się nie dzieje.

– Przecież widzę. Od dłuższego czasu jesteś spięty, unikasz mnie. Dlatego pytam.

– Mówię ci o wszystkim – odparł Józef z naciskiem – więc perfekcyjnie wiesz, że od kilku tygodni robię co mogę, żeby załatwić te kontrakty. Tak, tak – dorzucił, choć Protazy nie przerywał – wiem, że źle się to odbija na naszych relacjach, ale to się wkrótce skończy. Obiecuję.

– Trzymam cię za słowo.

– Byłeś nad Milówką? – zmienił temat Józef.

– Nie.

– Dlaczego?

– Samemu mi się nie chciało. Polecimy razem jutro.

– Przecież mówię, że wracam po południu.

– To tylko chwila...

– Będę zmęczony, zresztą wiele tam się od zeszłego tygodnia nie zmieniło.

Protazy zagryzł wargi.

– Dopiero co obiecałeś, że to się wkrótce skończy.

– Wkrótce to nie znaczy jutro – zachnął się Józef. A potem zmienił zdanie. – Zresztą zobaczymy. Może i jutro.

– Okej.

– *See ya.*

Rozmowa rozplynęła się w ciszę. Protazy stał jeszcze chwilę, a potem usiadł z powrotem i zmniejszył liczbę osób w menu o połowę.

Farmy wertykalne ciągnęły się to po lewej, to po prawej stronie praktycznie aż do zabytkowego centrum miasta. Wciągnawszy w płuca rześkie powietrze, Protazy wsparł potylicę o zagłówek. Stojąc w korku obok dawnego parku Mickiewicza, zawsze sięgał pamięcią do czasów, gdy jeżdżąc z rodzicami do galerii handlowej Xiangjiang po drugiej stronie musiał wysłuchiwać wciąż tych samych narzekań, jak to kiedyś rosły tu piękne stare drzewa i płynęła rzeka. Te pierwsze wycięto, tę ostatnią zaś przykryto, by stworzyć teren pod wielkie, przeszklone budynki, gdzie prowadzono uprawy aeroponiczne. Światło wczesnego jeszcze słońca przenikało teraz tafle szkła, tu i ówdzie ukazując cienie i kształty pozawieszanych jakby w nieważkości warzyw.

O dziwo, korek rozładował się znacznie szybciej niż zwykle; Protazy ruszył wolno, lecz płynnie Aleją 17. Lipca. Pochyłe nowoczesne zabudowania o czarnych powierzchniach coraz częściej ustępowały tu kolorowym, trzymającym idealny pion budowlom historycznego centrum. Zabytków, liczących po dwa, trzy, a nawet więcej stuleci, wedle ustawy o dziedzictwie kulturowym nie wolno było pokrywać tynkami fotoelektrycznymi, a tylko za zgodą wojewódzkiego konserwatora w szczególnych przypadkach wyższej ekologicznej konieczności można było wyposażać w energochłonne pokrycie dachów. Jeden czy drugi taki barwny wyjątek w zasięgu wzroku mógł jeszcze cieszyć oko, ale kiedy Protazy dotarł do samego centrum, mimowolnie zmrużył powieki – prastare budynki zamku Sułkowskich, Poczty Głównej i Teatru Polskiego oraz okoliczne kamienice i jasne płytki chodnikowe w połączeniu z mocnym tego dnia słońcem bezlitośnie kłuły w oczy kakofonią kolorów. Gdyby nie kojąca wzrok obsydianowa czerń graniastosłupa wieży Chrobrego dokładnie naprzeciwko Zamku, nieprzywykłemu przechodniowi mogłoby zrobić się niedobrze.

Protazy skręcił w lewo i z turkotem kół zaparkował pod zamkiem. Zerknawszy w lusterko, wyjętym ze schowka grzebykiem przecesał bokobrody i wysiadł na pamiętający poprzednie tysiąclecie ceglasty bruk. Nie lubił jeździć po kocich łbach, a co dopiero stąpać po nich czy nawet patrzeć na nie. Ciepło- i drganiochłonne czarne nawierzchnie zwykłych dróg zapewniały nie tylko komfort i benefity ekologiczne, ale także daleko przyjemniejsze wrażenia wizualne. Szybkim krokiem ruszył wąską uliczką wzdłuż seledynowych Podcieni. Humoru nie poprawiał mu fakt, że poranna wiadomość od Józefa, w której prosił o, nie, nalegał na spotkanie w biurze była niepokojąco oschła. Czyżby jednak stracił kontrakt? zachodził w głowę, przeciskając się przez tłumy szoperów buszujących po tutejszych butikach. A może coś innego poszło nie tak? I dlaczego musi mi to powiedzieć właśnie tutaj?

Biuro Rozbiorexu mieściło się w nieznośnie żółtej i niesamowicie starej kamienicy w północnej pierzei Starego Rynku. Miejski architekt zaszalał tu z kolorami, jakby nie mogąc się nacieszyć, że aż z czterech stron ma zabytek na zabytku; na dodatek amarantowa wieża pobliskiej katedry wystająca ponad absurdalnie czerwone dachy gryzła się niemiłosiernie z błękitem i bielą nieba. Wszystko było tu wściekle kolorowe, tylko w zajmującym sporą część rynku chińskim miniparku im. św. Michała Boyma, choć pełnym kwiatów, krzewów i drzewek oraz kanałów i oczek wodnych z sennymi tęczowymi rybami, kręte alejki emanowały kojącą czernią; dzięki nim park był pod względem zasilania nie tylko całkowicie samowystarczalny, ale i kontrybuował energię elektryczną otaczającym go niewydajnym zabudowaniom.

Nacisnąwszy staroświecką klamkę, Protazy wszedł do kamienicy. Mimo gruntownych remontów w takich budynkach zawsze utrzymywała się stęchła woń przeszłości. Zmarszczył

nos i wstąpił na schody. Na półpiętrze natknął się na młodą kobietę. Stała pod okienkiem, jedną dłonią podwijając siateczkę, drugą manipulując przy oku. Kiedy podniosła nań wzrok, uśmiechnął się kącikami ust. Nie widział, czy odwzajemniła uśmiech – ręką zasłaniała dolną część twarzy – lecz jej piękne czarne oczy na pewno pozostały nieruchome. Minał ją i piętro wyżej stanął przed drzwiami z tabliczką ROZBIOREX p.u.

Najwyższa pora znaleźć bardziej godziwą lokację na biuro, pomyślał i wszedł.

Józef wyglądał właśnie przez okno. Na odgłos kroków odwrócił się, a na widok Protazego uniósł brwi i zamrugał.

– *Hi!* – uśmiechnął się Protazy. – Udało mi się uniknąć stania w korku...

Józef podrapał się w bokobród i przeszedł do biurka, unikając wyciągniętych ramion partnera.

– Coś jest nie tak? – Protazy przystanął, marszcząc brwi. Józef pochylił głowę i wsparł się o biurko, mocno, aż zachrząsał łokieć.

Chyba straciliśmy ten kontrakt, pomyślał Protazy, postępując bliżej.

– Czy to ta ślicznotka na schodach przyniosła ci jakąś złą wiadomość? – zażartował, dotykając dłoni Józefa.

Ten cofnął rękę i podniósł wzrok. W tej chwili Protazemu rzuciło się w oczy, że przeszczepione oko partnera nie jest już błękitne, tylko dziwnie ciemne.

Wręcz czarne.

– Coś ci się stało w oko? – spytał, a potem drgnął.

Józef sięgnął dłonią do twarzy i zdjął soczewkę.

– Ta kobieta – westchnął, pstryknięciem posyłając czarny krążek do kosza – jest ze mną.

Przez jeden moment trwała cisza. Potem przez drugi.

– Że co? – odezwał się wreszcie Protazy, wbijając w Józefa pełen niedowierzania wzrok. – Ta kobieta...

– To moja kochanka – powtórzył mężczyzna i usiadł, nie śmiąc spojrzeć mu w twarz. – Nie chciałem ci jeszcze mówić, czekałem na lepszy moment, ale nie mogę dłużej mydlić ci oczu. Z nami koniec.

Protazy wciąż stał po drugiej stronie biurka, patrząc z góry na partnera. Ekspartnera. Czuł się, jak gdyby właśnie się dowiedział, że... nie, nie trzeba gdybać – czuł się jak człowiek, b y ł człowiekiem, który przeżywa oto zdradę najbliższej osoby. I nie może w nią uwierzyć.

– Nie wierzę – szepnął i wczepił się wzrokiem w źrenice Józefa, jakby chcąc doszukać się w nich oznak, że to wszystko nieprawda. W jednym, własnym zielonym oku znalazł posępność i postanowienie; w drugim, przeszczepionym błękitnym bezsilę i ból. Któremu miał wierzyć?

– Uwierz. – Mężczyzna zagryzł wargi.

Protazy stał nadal bez ruchu. Obracał w głowie słowa Józefa, starając się dostrzec gdzieś pod nimi jakiś inny sens. Nadaremno. On to naprawdę powiedział, powtarzał sobie. Naprawdę mnie zdradził. Dlaczego? Kiedy? Czemu się nie zorientowałem? Czy kłamał, gdy mówił wczoraj, że...

– Co cię tak dziwi? – zgrzytnął zębami Józef. – Przejrzyj wreszcie na oczy! Przecież w naszym związku od dawna było chłodno.

Protazy potrząsnął głową.

– Nie – syknął z niespodziewaną dla siebie samego ostrością. – W tym związku to ty byłeś chłodny. Nie wiedziałem dlaczego, szukałem przyczyny w sobie, a tymczasem...

– To co było między nami – przerwał Józef – minęło. Tak po prostu bywa i nie ma w tym niczyjej winy.

– Bardzo wygodne stwierdzenie – zripostował Protazy i nagle poczuł, że opuszczają go

siły. Oto klócił się z partnerem o zdradę. Jak mogło w ogóle do tego dojść?

Józef tylko wywrócił oczami, dławiąc w gardle odpowiedź.

– Ale ta dziewczyna... – Protazy niepewnie półobrótł się w kierunku drzwi. – Nie powiesz mi, że...

– Przecież wiesz, że kiedyś lubiłem kobiety.

– Ja też, ale to nie jest punkt! – pokręcił głową, starając się zakotwiczyć we wzburzonym oceanie myśli i uczuć. – Punkt jest taki, że gdybyśmy mieli adopta albo klona, byłby teraz w jej wieku!

– No i co z tego?

– Mamy obaj ponad pięćdziesiątkę, a ty zaciągasz dwudziestkę??

– To nie ma nic do rzeczy – warknął Józef, nie wiedząc, gdzie podziać oczy. – Zresztą to ona mnie zaciągnęła. Mój wiek jej nie przeszkadza. Ani mnie jej.

– Uwiodła cię – rzucił nagle Protazy.

– *Enough!* – Józef zacisnął szczęki i zerwał się z fotela. Stanęli twarzą w twarz.

Ale Protazy nie odwzajemnił spojrzenia, tylko usiadł w fotelu i pochylił głowę. Ogarnęła go nagła słabość, obezwładniająca poczucie nierzeczywistości sprawiło, że zapadł w dziwną drętwość. Wiedział, czuł, że to wszystko się dzieje, ale nie potrafił zareagować. Nie wiedział jak, nie wiedział, czy w ogóle powinien. Czy chce.

– Kochałem cię – ciągnął Józef, ciężko siadając. – Nadal jesteś mi bliski i chcę dla ciebie jak najlepiej, ale zrozum. Człowiek się zmienia, latka lecą, Józek *twenty-something* a Józek *fifty-something* to dwie różne osoby – próbował się uśmiechnąć.

Protazy powoli pokręcił głową.

– Ja się tak nie zmieniłem. – szepnął.

– Tak nie – mruknął Józef – ale inaczej. Pamiętasz, jaki byłeś, gdy się poznaliśmy? Ile miałeś pozytywnej energii, ile świetnych idei? To ty zbudowałeś tę kompanię, to ty wszystko popychałeś. Wtedy chciałem z tobą być, wtedy każdy dzień był przygodą. A teraz? Cała kompania jest na moich barkach, bo ty tylko dłubiesz i dłubiesz przy tym fakniętym domu! – sapnął i przetarł twarz, jakby chcąc się uspokoić. – Pamiętasz, jak kiedyś wyciągnąłeś mnie na wyprawę do Afryki? Dopiero tam pokochałem cię naprawdę. A teraz nie jestem w stanie wyciągnąć cię gdziekolwiek nawet na weekend! Zmalałeś, rozumiesz? Już nie jesteś tym chłopakiem, który...

Głos mu zadrżał; umilkł. Przez chwilę obaj tylko patrzyli na dzielące ich biurko.

– Czyli jednak – powiedział cicho Protazy – wina leży po mojej stronie.

Józef zachnął się, a potem zagryzł wargi.

– Kiedyś – rzucił nagle drżącym głosem – kiedyś... chcieliśmy w życiu tego samego. Dziś mamy inne cele. Czy naprawdę trzeba całe życie spędzić z jednym i tym samym drugim człowiekiem? Czy nie należy szukać kogoś właściwego na dany *stage* życia?

Protazy podniósł wzrok.

– Twoja kochanka też tak uważa?

Dłoń Józefa klasnęła o pulpit.

– *Don't do this* – syknął. – Nie chcę, żeby to rozstanie tak wyglądało.

– A ja nie chcę, żeby w ogóle nastąpiło. Ale decyzję przecież już podjąłeś...

– A jak to sobie wyobrażasz? – prychnął Józef. – Że twoje argumenty przekonają mnie do zmiany zdania? Że powiem, *wow*, masz rację, dalej chcę z tobą być?

– Myślałem – powiedział cicho Protazy – że patrzymy na świat nawzajem swoimi oczami...

– Bo patrzymy... – Józef pochylił się do przodu i wysunął dłoń w kierunku partnera. Jego głos zmiękł, stał się ciepły. – I dlatego chcę dla ciebie jak najlepiej. Nie będzie żadnych prawników, sporów o majątek. Wszystko mam obmyślane tak, żebyś nie był poszkodowany. Jestem gotów porozmawiać o tym w każdej chwili jak friend z friendem. Jeśli potrzebujesz

czasu, zrozumiem.

Protazy pokiwał głową, a potem uniósł rękę i dotknął dłoni Józefa. Była zimna. Spletli palce. Po staremu.

– Jak ją poznałeś? – spytał nagle.

Józef cofnął się lekko, ale dłoni nie zabrał.

– W COTYNATO. Ot, jakoś tak się stało, że zaczęliśmy rozmawiać i...

– Chodzisz do klubów? – spytał z niedowierzaniem Protazy.

– Czemu cię to dziwi? – Józef cofnął dłoń i odchylił się w fotelu. – Sam chodziłeś ze mną do klubów. Ba, sam mnie do pierwszego zaciągnąłeś! Nie pamiętasz już?

– Byliśmy młodzi...

– Dalej jesteście młodzi! – przerwał gniewnie. – Skąd w tobie to... to coś, ten jakiś opór czy upór? Ta niewiara w swoje możliwości? Ty byś już chętnie siedział na tyłku w domu, a jest jeszcze tyle do zrobienia, tyle do przeżycia! Dlaczego nie miałoby być tak, jak dawniej?

– No właśnie, dlaczego? – Protazy zacisnął szczęki. – Dlaczego nic nie mówiłeś? Dlaczego wolałeś kłamać mi w żywe oczy? Dlaczego postawiłeś na mnie, na nas krzyżyk?

Józef przymknął oczy i potrząsnął głową.

– Pewnych rzeczy nie da się uratować – powiedział cicho.

Protazy prychnął i wstawszy podszedł do okna.

Firanki, zainstalowane zgodnie z detalowymi regulacjami konserwatorskimi, falowały w rytm oddechu wiatru. Protazy patrzył na czarne alejki przeskakujące półkolistymi mostkami nad kanałami parku błyszczącymi w promieniach słońca i nie myślał.

– Jak ma na imię? – rzucił wreszcie beznamytnym głosem w przestrzeń. – Skąd jest? Czym się zajmuje?

– Nazywa się Genowefa – rzeczowym tonem odpowiedział Józef. – Jest z Frýdka-Místka. Studiuje ZPT. Jest bardzo piękna, bardzo mądra i wrażliwa jak nikt – dodał już od siebie.

Protazy pokiwał głową i odwrócił się powoli. Czuł się tak, jak gdyby Józef atutami tej kobiety wykłubał mu oczy.

– Muszę pomyśleć.

Chwilę patrzyli sobie w oczy. Swoje oczy.

– *Sure* – pokiwał wreszcie głową Józef. – Jeśli potrzebujesz czasu, dom jest twój, ja będę w mieszkaniu.

Protazy uniósł dłoń na pożegnanie i wyszedł bez słowa.

Stęchlizna została za drzwiami. Wychodząc na uliczkę oddzielającą kamienicę od miniparku, Protazy wiedział, że zostawił za nimi dużo więcej. Stał przez chwilę, czując, że narasta w nim coś, czego nie chce, jakieś uczucie, którego się bał. Oczy zaszyły mu mgłą; nerwowo starł ją dłonią. Odwróciwszy się w kierunku Podcieni, ruszył szybkim krokiem, ale ledwo po kilku metrach przystanął, kiedy nawinął mu się przed oczy biały automat apteczny. Gustowny wyświetlacz postawiony obok przez miejski wydział promocji głosił wszem wobec, że niniejszy zautomatyzowany dystrybutor jest kontynuacją apteki założonej jeszcze w XVIII wieku. Raz, gdy dopiero lokując tu Rozbiorex czekali, aż kompania remontowa zrobi wreszcie to, do czego została wynajęta, Protazy przeczytał z niejakim zainteresowaniem o zawikłanych dziejach niegdysiejszej apteki Pod Jeleniem. Kiedy to było? Nie tak dawno przecież, a jednak zdawało się, że w innym życiu. Teraz bez zwłoki wyszukał na liście leków zwiększających komfort egzystencji środek, o którym było ostatnio głośno w mediach. Niecierpliwie podstawił rękę pod wylot automatu, gdy tylko piknięcie oznajmiło, że opłata została pobrana. We wnętrzu coś zaszumiało i na dłoń wypadła mu saszetka Memoreko B.

Rozdarł ją i wilgotną wewnętrzną powierzchnią przetarł szyję. Uspokoił się prawie natychmiast, choć specyfik nie mógł jeszcze zadziałać. Wystarczyła mu wiedza, że niebawem bolesne wspomnienie rozmowy z Józefem straci na emocjonalnej wyrazistości i pozostaną tylko suche fakty, a rodzące się okropne uczucie nie zdąży zakorzenić się w jego pamięci. Rzucił zużyte opakowanie na ziemię i wyobrażając sobie, że już mu lepiej, ruszył dalej.

Dotarłszy pod zamek, przez mgnienie oka wahał się, czy nie wsiąść do samochodu i nie pojechać do domu. Tylko przez mgnienie, bo łuski spadły mu z oczu i fikcja tego pięknego, lecz pustego budynku na przedmieściach aż biła teraz po oczach. Mam tam wrócić? pomyślało mu się. Zagryzł wargi i nie mając pojęcia, dokąd tak naprawdę zmierza, przeszedł między wieżą Chrobrego a skwerem Eli Graf na plac Bolka i Lolka. Rozległa przestrzeń opadała łagodnie ku deptakowi 11. Listopada i domowi handlowemu Sfera. Zabytkowe kamienice ciągnące się wzdłuż brukowanego traktu jaskrawiły się jak zwykle i w każdy inny dzień ruszyłyby bez namysłu ku Sferze, której gustowną wczesnodwudziestopierwszowieczną bryłę pokrywała kojąca czerń. Dziś jednak nie miał potrzeby ani ochoty na szoping. Pragnął się zagubić, zapomnieć. Minął otoczony przeciwptasim polem siłowym wyniosły pomnik patronów placu i zapuścił się między przytłaczająco kolorowe fasady budynków pamiętających inny świat. Szedł, szedł, szedł, gdzie oczy poniosą, skręcając na chybił trafił, aż Memoreko B zaczęło działać, a on skończył cierpieć.

Opamiętał się na jednym z licznych łukowatych mostków spinających brzegi ekshumowanej niedawno spod niepotrzebnej jezdni rzeczki Niwki, dopływu Białej. Spokojniejszym już krokiem przemierzył plac pod neorenesansowym ratuszem i wszedł w park na tyłach papuzio kolorowej budowli. Koryto Białej wyeksponowano tu przemysłnie, tworząc sztuczne meandry. Sędziwe drzewa, ocalone od wycinki dzięki temu, że rosły w dzielnicy nieproduktywnej z fotoenergetycznego punktu widzenia, rzucały nieszkodliwy cień na barwne ściany, jasnoszarą kostkę brukową i marmurowy posąg Smolenia naturalnej wielkości. Usiadłszy na ławce patrzył w sunące wody, czując, jak ich niestrudzony pęd – albo chemia leku – wymywa z głębin jego duszy resztki bólu, pozostawia zaś obojętność. A może nie? Choć nie bolało go już serce, gdy wracał myślą do zdrady Józefa, krzepnął w nim jakiś chłód, jakaś suchość, twardość. Ale czy mogło, czy powinno być inaczej?

Po drugiej stronie młodzież z liceum im. Jerzego Stuhra wychylała się przez barierki, głośno komentując poziom wody. Rzeka była wezbrana i choć trwało to od miesięcy, czyli odkąd zaczęto spuszczać zbiornik zapory żywieckiej, wielu wciąż zdumiewała siła, z jaką masy wody uciekały z długotrwałej niewoli, nieświadome kolejnych czekających na nie po drodze do Bałtyku potężnych, choć skazanych na rychłą śmierć hydroelektrowni. Patrząc na skotłowany, dziki pęd, Protazy wyobraził sobie, jak wyglądać musi nurt opływnicy miasta, którą sunęło do Wisły o wiele więcej wody. Ukojone farmakologicznie myśli zawiodły go na tereny bezpiecznych emocjonalnie rozważań o technologii, gospodarce i planistyce. Tylko gdzieś w tle świadomości przewijały się obrazy i słowa – ale nie uczucia – z ostatniego spotkania z Józefem.

Z wieży zegarowej ratusza rozległ się kurant. Wytrącony z zamyślenia Protazy zamrugął.

Przecież nie musiał wracać do martwego domu. Mógł zrobić coś innego.

Coś dla siebie.

Wstał i ruszył szybkim krokiem z powrotem pod zamek, do wiernego forda.

Szara ściana zapory została w tyle. Sprawdziwszy pas, Protazy rozsunął okno lotowca. W twarz uderzyło go rozpędzone wilgotne powietrze. Będzie świeższe, gdy dno wyschnie, pomyślał, wodząc oczami po kopulastych szczytach pokrytych wirującymi bezmyślnie

aerogeneratorami. Zbocza znaczyła wzdłuż linia poziomu wody, oddzielając suchą i żywą część górną od mokrej i martwej dolnej. Poczul nagłe ukłucie żalu, że nie będzie już rekultywował tych gór u boku Józefa.

By odpędzić złe myśli, spojrzal w dół. Pod nim rozciągała się kotlina ujęta z trzech stron w falujące wały łańcuchów górskich, z czwartej zaś odcięta betonowym łukiem. Z zalegającej dno buroczarnej mazi dachy domów i wieże kościołków wystawały liczniej niż podczas ostatniego przelotu. Największe ich skupisko wyznaczało lokację Żywca; na północ od miasta lśniła woda zalegająca dawne – mikre w porównaniu z sukcesorem – Jezioro Żywieckie. Tu i ówdzie widać było pojazdy ekip sondujących i sprzątających teren.

– Zbliżamy się nad cel – zakomunikował pilot.

Protazy uśmiechnął się, gdy lotowiec wpłynął ponad łagodne wzgórza. Tu leżała kiedyś Milówka, góralska wioska, która jak wiele innych złożona została na ołtarzu mylnej idei. Okolica była wyraźnie suchsza niż poniżej, osadów nagromadziło się mniej, niektóre domy i chaty widniały już jak na dłoni. Protazy obiegal wzrokiem działkę kupioną z myślą o rozszerzeniu działalności Rozbiorexu. Każdy zrekultywowany agrykulturalnie obszar po chybionym zbiorniku retencyjnym pozwalał Polsce nabierać tempa w wyścigu z aktualnymi liderami w produkcji żywności – idącymi łeb w łeb w rywalizacji o tytuł „spichlerza Europy” Ukrainą, która opamiętała się wreszcie po dekadach rujnowania swoich żyznych równin uprawą biopaliw, i Francją, która wbrew naciskom wytrzymała w pryncypialnym uporze przy energii atomowej. Terenu rozciągającego się właśnie pod lotowcem było dość nie tylko na uprawę burakoziemniaków, ale i na nie mniej profitową hodowlę pędraków na mączkę spożywczą. A także na postawienie domu.

Protazy zagryzł wargi, gdy znów stanęła mu przed oczami dwudziestowieczna willa. Sam ją wybrał i urządził, szczycił się nią, hołubił, oczyma wyobraźni widział już nawet, jak staje się siedzibą rodziny. Teraz jednak, gdy cel, jaki jej wyznaczył, okazał się nierealny, poczul, że zbyt długo zamykał oczy na fakt, iż ten dom z nazwy nie jest wcale domem naprawdę. I nigdy nie był. To tylko pusty zabytek, który widział tak wiele, a tak niewiele potrafił zaoferować. Zbędna konstrukcja, którą tak długo urządził, a którą teraz pragnął jak najprędzej opuścić. Której strzegł jak źrenicy oka, a której nie chciał teraz widzieć na oczy.

Wziął głęboki oddech.

Koniec, powiedział sobie nagle. Koniec wspomniania przeszłości z łezką w oku. Koniec!

Zdumiał się sam sobą. Nie spodziewał się, że tak szybko znajdzie w sobie siłę, by spojrzeć prawdzie prosto w oczy i zaakceptować ją. Ale stało się. Czy to dzięki Memoreko?

– Wracamy – dobiegło od sterów.

Pilot wykonał manewr, lotowiec przechylił się w powietrzu. Protazy po raz ostatni wciągnął w nozdrza wilgotną woń, zamknął okno i umościwszy się w fotelu, spojrzal przed siebie, na brutalnie spajający dwa beskidzkie pasma wał zapory.

Wnętrze resty Stołówka przy ulicy 11. Listopada miało ten sam co przed laty dyskretny urok retro: białe ściany, jarzeniówki pod sufitem, wzdłuż nagich stołów ławy bez oparc, samoobsługa przy okienku. Protazy nie był tu lata całe, ale trafiłby z zamkniętymi oczami. Prawie połowę stolików zajmowali frakówkowcy w średnim wieku, ale było też trochę młodzieży. O tej porze dnia nigdy nie zjawiało się tu tylu gości, pomyślał; przynajmniej nie za czasów, gdy zachodziłem z Józefem. Interes musiał iść dobrze – a może klientów na niezrównany kapuśniak szefa kuchni zagnał do wnętrza niespodziewany kapuśniaczek na zewnątrz.

Protazy popijał piwo sojowe „Yanjing“ i patrzył to przez niepasujące do wystroju

energochłonne okno, to ku przeszkłonym aluminiowym drzwiom. Ostatniej nocy nie zmrzył oczu, ale nie kleiły mu się teraz. Wiedział, że przyszedł za wcześnie, zresztą zrobił to z rozmysłem, ale i tak denerwował się, jak gdyby jego partner się spóźniał. Ekspartner, poprawił się w myślach.

Gdy Józef zadzwonił poprzedniego dnia, by umówić się na spotkanie, Protazy bez namysłu zaproponował to miejsce. Teraz żałował. Wspomnienie romantycznych kolacji, na które dawno, dawno temu się tu umawiali, zamiast pokrzepić go, na co chyba podświadomie liczył, rozbudziło w nim uspioń już smutek. Gdzież on jest, myślał, wyglądając za okno. Miejmy to już za sobą!

Wychylał właśnie ostatni kieliszek, gdy z głośnika dobiegł udatnie skomponowany zgrzyt zawiasów. Protazy odwrócił głowę w kierunku wejścia, przywołując na twarz pełen nadziei uśmiech, ale gdy ujrzał, kto wchodzi, przez chwilę nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Uchylonymi przez Józefa drzwiami na salę wkraczała Genowefa.

Zacisnął szczęki, ale opanował się i uniół rękę.

– Tutaj jesteś! – uśmiechnął się Józef i podszedł szybkim, lekko nerwowym krokiem. Dziewczyna postąpiła za nim.

– Poznajcie się.

Protazy wstał i podał Genowefie dłoń. W mocnym świetle jarzeniówek jej uroda, skryta wtedy na schodach kamienicy, zajaśniała w pełnej krasie. We własnym, czarnym oku miała jakiś niepokojący, ale i pociągający błysk, który rozplýwał się bez śladu w katalogowej zieleni soczewki kontaktowej drugiego oka, nawet się nie umywającej do jedynej w swoim rodzaju barwy tęczówek Józefa.

– Co ci przynieść? – spytał Józef Genowefy. Oczy śmiały mu się do niej.

– Herbatę – odpowiedziała miękko, ciepłym głosem, robiąc słodkie oczy.

– Nic nie zjesz?

– Może wuzetkę.

– Dla nas jeszcze jedno? – wskazał na stojący obok kieliszka Protazego pusty pojemnik po yanjingu.

– Chętnie.

– Coś jeszcze?

– *No, thanks.*

Józef odwrócił się i ruszył do okienka. Odchrząknąwszy, Protazy sięgnął, żeby przesunąć pusty kieliszek, ale w porę spostrzegł, że zdradzi w ten sposób swoje zdenerwowanie. Podniósł wzrok na kobietę i spojrzał jej w oczy.

Genowefa była skończoną pięknoscią – każde następne spojrzenie tylko bardziej to potwierdzało. Wiedział o tym już wcześniej od Józefa, ale co innego wiedzieć, a co innego wiedzieć na własne oczy. Jej przesłonięta granatową siateczką twarz, choć nieskażona makijażem, subtelną grą łuków i cieni zachwycała i intrygowała niczym wystudiowane oblicza z reklam z początków wieku. Józef ma oko, pomyślał, czując ukłucie w sercu.

Nie zdążył nic powiedzieć, nie zdążył nawet zdecydować, czy to ukłucie żalu czy zazdrości, gdy spuściła wzrok i przykryła różnobarwne tęczówki naturalnie długorzęsami powiekami.

Dlaczego Józef? pomyślał. Co taka ślicznotka w nim widzi?... Zawstydział się od razu albo zirytował. Bo co on sam w nim widział? Gdyby Józef nie był wart miłości, Protazy by przecież z nim nie był...

„Człowiek się zmienia”, wróciły doń nagle słowa Józefa. „Czy naprawdę trzeba całe życie spędzić z jednym i tym samym drugim człowiekiem? Czy nie należy szukać kogoś właściwego na dany *stage* życia?”. Nie uważam tak, pomyślał i zaraz się poprawił: nie uważałem tak. Ale przecież nie można zostać samemu do końca życia. A skoro Józef znalazł

sobie nowego partnera na kolejny *stage* życia, to dlaczego by nie...

O czym w ogóle mowa! Zaciął wargi i wbrew sobie chwycił pusty kieliszek. Kolejny *stage*? Posłał Genowefie kose spojrzenie, ale wzięta nie podnosiła wzroku. Przecież to jasne, że jest z Józefem tylko dla łatwego życia. Mało takich jak ona poluje na takich jak on?

Tylko dlaczego trafiło akurat na nich?

– *Here you are* – powiedział Józef, stawiając przed byłym partnerem ogrzany do idealnych dwudziestu dwóch stopni pojemnik piwa, a przed aktualną partnerką szklanę wrzątku i spodek z torebką herbaty, plasterkiem karamboli oraz kostką słodzika. – Ja wziąłem papierówki w karmelu, za parę minut będą... O, zapomniałem łyżeczki – zachnął się i już chciał się odwracać, ale chwyciła go za rękę.

– Nie trzeba. Już pójde.

– Ależ, Gieniu... – zdumiał się, a potem spojrzał na Protazego krzywym okiem.

– Nie powinnam wam przeszkadzać – wyjaśniła, wstając. – Powinniście porozmawiać w cztery oczy.

– Przecież mówiłem ci, że w trójkę będzie...

– Zadzwoń jak skończycie, *d'accord*?

Pocałowała go w policzek, odwróciła się i wyszła. W głośniku zaskrzypiały zawiasy.

– Powiedziałeś jej coś? – Józef nachylił się nad Protazym i spojrzał mu ostro w oczy.

– Nawet ust nie zdążyłem otworzyć.

– Nie musiałeś.

– *Listen* – zmarszczył brwi. – Każdy ci powie, że przyprowadzenie swojej nowej partnerki na spotkanie z eksem to kiepska idea. Ona najwidoczniej też tak uznała i wykazała się delikatnością, której tobie zabrakło.

Józef przez chwilę studiował twarz Protazego, a potem usiadł.

– Niech będzie – mruknął i otworzył pojemnik. Do kieliszków polał się spieniony płyn.
– No to *cheers*!

Wypili. Protazy nalał drugą kolejkę.

– Jak się wam układa? – spytał, chowając twarz za kieliszkiem.

– Dobrze – odpowiedział Józef, drapiąc kciukiem zarośnięty policzek. – Ale wiem, że to dla ciebie niełatwy temat, więc...

– A dla ciebie?

Józef spojrzał mu ciężko w oczy.

– Przecież wiesz. Myślisz, że taką decyzję podejmuje się łatwo?

– Nie wiem. Nigdy jej nie podejmowałem.

– Tego się właśnie obawiałem – sapnął Józef i ze stukotem odstawił kieliszek. – Ja chcę się rozstać po frendowsku, a ty nie.

– Ja nie chcę się rozstać? – Protazy prawie się zaśmiał. Jakby znikąd spłynęło nań niespodziewane rozluźnienie. Poczul się ostatecznie wyzwolony od krępujących ograniczeń nieudanego związku. Poczul się sobą. – Myślisz, że po czymś takim chciałbym do ciebie wrócić?

– To jest właśnie to, o czym mówię – pokręcił głową Józef. – Ty się nie chcesz rozstać po frendowsku, chcesz mnie drażnić, aż się wścieknę, i wydrzeć mi...

– Uważaj, żebyś nie powiedział za dużo – Protazy nachylił się nagle i oparł łokcie o stół. – *Look*: to wyłącznie moja dobra wola, że godzę się na tę rozmowę – rzucił przyciszonym głosem. – Rozstanie nastąpiło z twojej winy i każdy sąd mi to przyzna.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał głucho Józef.

– Tylko tyle, że powinniśmy szybko ustalić, kto co bierze, zarejestrować to urzędowo, odwiedzić klinikę i pożegnać się raz na zawsze.

Józef milczał dłuższą chwilę.

– Bałem się, że będziesz zdepresjowany, ale widzę, że jest wprost przeciwnie – rzekł

wreszcie cicho. – Czy ty wzięłeś Memoreko albo inne świństwo?

– A ty nie?

– Nie. I widzę, że zrobiłem źle, bo wyrzuty sumienia niepotrzebnie spędzają mi sen z powiek.

– Tak ci doskwierają, że musiałeś przyprowadzić tu kobietę, która weszła między nas.

Józef potarł palcami oba bokobrody, aż zachrząściło.

– Czyli jednak coś jej powiedziałeś – mruknął.

Protazy uśmiechnął się.

– Nie powiedziałem ani słowa. Wystarczyło, że na nią spojrzałem.

Milczenie zdawało się namacalne. Potem pojemnik stuknął o kieliszek.

– Okej... – Józef przetarł usta wierzchem dłoni. – Załatwmy to szybko. Ja biorę kompanię i mieszkanie na mieście. Ty bierzesz willę i ziemię w Milówce. Wspólne konto dzielimy na pół.

Protazy dłuższą chwilę patrzył mu w oczy.

– Co z kontraktem na Beskidy?

Józef przełknął piwo. A może ślinę.

– Co ma być? – burknął.

– Sporo pieniędzy przyniesie kompanii.

– Przyniesie – warknął Józef – i nic dziwnego, bo harowałem jak koń, żeby go zdobyć.

Ty nawet palcem nie kiwnąłeś. Więc jeśli myślisz, że dam go sobie wydrzeć, to się mylisz. Dostajesz ziemię wartą w perspektywie parę razy więcej, a śmiesz...

– Spokojnie! – uciszył go Protazy. – Chciałem tylko zobaczyć, jak ci zależy.

– Że co? – Józef spojrzał nań zdumiony.

– To, co słyszałeś. – Nalał sobie resztkę piwa i wypił. – Podział jest uczciwy.

Sięgnął do leżącej obok na ławie torby po komputer. Czarna płytka zaślniła i rozjarzyła się.

– Czyli tak... – mówił ni to do Józefa, ni to do siebie, wprowadzając dane do urzędowego formularza. – Rozwód w dniu dzisiejszym za porozumieniem stron, kompanię przepisujemy na ciebie, mieszkanie przy Pałygi też na ciebie, willę w Romskim Lesie na mnie, tak samo działkę w Milówce, konto na pół, konfirmnij.

Józef bez słowa wziął płytkę i potwierdził swoją zgodę. Protazy przejrzał jeszcze raz wszystko i zarejestrował.

– *Done* – powiedział z uśmiechem i wyłączył komputer. – Oficjalnie nie jesteśmy już parą. Kończ piwo, jedziemy do kliniki.

Wstał i wyszedł, nie oglądając się na Józefa.

Dźdżyło. Stanąwszy na bruku, podciągnął kołnierz frakówki. Kiedy usłyszał za sobą zgrzyt, ruszył w kierunku parkingu.

– Co, to już? – zawołał Józef, podbiegając. – To był nasz pożegnalny obiad?

– Jaki znowu obiad, parę kieliszków piwa.

– Bo nie zdążyłem nawet odebrać papierówek...

– Sam mówiłeś, żeby załatwić to szybko.

Józef chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Protazy wsiadał już do samochodu.

Święty stożek budynku Centrum Medycznego Hulanka na rogu Cieszyńskiej i Salomona Pollaka otaczały zadbane granatowce; na matowoczarnych ścianach okrągliły się lśniąco ciemne okna. Dalej, za rondem Frońskiego, nad długimi szeregami pochyłych budynków jednorodzinnych, w mżawce i mgłę wznosiły się sine grzbiety Beskidu Śląskiego i Małego, połączone zamazaną linią zapory.

Zaparkowali i nie zamieniając słowa, weszli do recepcji. Wykupiwszy procedurę, usiedli na fotelach w poczekalni.

– Dzwon do Gieni – rzucił Protazy, ścigając oczami wywoływanych do gabinetów klientów.

– Po co – beznamiętnie spytał Józef.

– Żeby przysłała na procedurę.

– Nie.

– Jak to: nie? Jeśli przyjdzie teraz, dostanie twoje oko od razu ode mnie, unikniesz dublowania procedury.

– Nie rozumiesz – mruknął Józef.

– To mi wytłumacz.

– Ona nie wierzy w pieczętowanie związku wymianą tkanek – skrzywił się i podrapał w bokobród.

Protazy po raz pierwszy od wejścia do kliniki popatrzył na eksa.

– No proszę! Taka młoda, a taka staroświecka!

– Młodzież teraz taka jest – machnął ręką. – Wraca moda na pierścionki i obrączki.

– Bo łatwiej zdjąć.

Józef zmierzył go ponurym spojrzeniem.

– Zamierzam kupić nam obrączki – powiedział powoli. – Ale kto wie, czy Gienia nie zmieni zdania. Dała się namówić na noszenie szkła kontaktowego i teraz się z nim nie rozstaje, więc jestem dobrej myśli.

Protazemu przypomniała się nagle klatka schodowa w kamienicy; znów zobaczył oboje czarnych oczu stojącej pod okienkiem Genowefy. Spojrzał na Józefa i przez chwilę chciał coś powiedzieć, nie wiedział, ostrzec go czy wyszydzić, ale w tej chwili wywołano ich do sali operacyjnej.

– Widzę, że macie już w tej procedurze eksperyencję – mówiła stalowooka operatorka, układając ich na leżankach – więc nie muszę wszystkiego detalowo tłumaczyć. Procedura jest rutynowa, za pół godziny obudzicie się w sali przejściowej, po kolejnej półgodzinie zdejmiecie opatrunki i jesteście wolni. Dla pewności zalecenia co do przyjmowania leków dostaniecie w recepcji...

Protazy wyczuł, że leżący kilka kroków dalej Józef obraca ku niemu głowę, chcąc chyba, by po raz ostatni spojrzeli sobie we wspólne oczy. Nie zareagował. Poczul na szyi chłód – to operatorka nacierała mu szyję środkiem znieczulającym – i zamknął powieki.

Kiedy je uniósł, wiedział doskonale, że wrażenie, iż minęła jedna chwila, jest mylące. Przekonywało o tym nie tylko to, że nad sobą miał inny sufit i inną twarz, ale także to, że choć chciał otworzyć oboje oczu, zdołał rozewrzeć tylko jedno.

Podniósł się z pomocą asystenta i usiadł na krześle pod ścianą. Józef siedział kilka miejsc dalej i powoli zakładał sobie telefon. W przestronnym pomieszczeniu znajdowało się kilkadziesiąt krzeseł i leżanek; ponad połowę zajmowali klienci po różnych procedurach.

– Za pół godziny ściągnij opatrunek i przejdź do recepcji – powiedział asystent, wskazując napuszczonymi oranżem oczami zegar nad lustrami po przeciwnej stronie sali, i odszedł do następnego klienta. Umościwszy się wygodniej, Protazy przymknął powieki. Przyjemne rozleniwienie po znieczuleniu utrzymywało się jeszcze. Odpłynął w drzemkę bez myśli.

– Jesteś już? Dobrze. Zaraz wychodzimy.

Otworzył oko. Józef stał obok odwrócony tyłem i rozmawiał przez telefon. Protazy zerknął na zegar: pół godziny już minęło. Sięgnął do twarzy i zdjął opatrunek. Mieniło mu się przed oczyma tylko przez kilka sekund. Spojrzał w lustro, w którym odbijała się twarz Józefa. Ten odwzajemnił spojrzenie. Obydwóm przywrócono już własne gałki oczne, lecz choć tęczęwki każdy miał teraz bliźniacze, ich oczy nie stanowiły jeszcze par – na razie mieli po

jednej zwyczajnej i jednej zaczerwienionej powiece oraz białkówce.

– *Ready?* – spytał Józef.

– *Yup.*

W recepcji odebrali pliki z procedury i instrukcję dalszego postępowania. Kiedy wyszli na schody, w świeżo odzyskane oczy zaświeciło im rześkie słońce wyglądające zza rozpraszających się chmur. Po mżawce została tylko wilgoć na ulicach i zapach w powietrzu. Od strony parkingu zbliżała się właśnie Genowefa.

– Jak przyjemnie ujrzeć cię na własne oczy, i to oba! – zaśmiał się Józef na powitanie. Pocałowała go i sięgnęła do kieszeni.

– Kupiłam ci nowe soczewki – powiedziała, podając mu pudełeczko. – Będą lepiej wyglądać na zielonej łączówce.

Uśmiechnął się i schował prezent.

– Musimy znaleźć automat apteczny – powiedział, obejmując ją w kibici – a potem do domu. Po poprzednim razie jak dopadła mnie senność, to spałem kilkanaście godzin i teraz będzie pewnie tak samo...

– *Good luck* – rzucił Protazy i wyciągnął rękę do eksa. – Wszystkiego dobrego na nowej drodze.

Józef uściśnął podaną dłoń.

– Dzięki. Tobie też. Wiesz, nie musimy tracić się z oczu...

Protazy kiwnął Genowefie.

– Wszystkiego dobrego.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i ruszył na parking.

Na uwalniających się od mgły beskidzkich graniach wirowały aerogeneratory.

Na moście Szczyrkowskim Protazy musiał znacznie zwolnić. Jeszcze przed chwilą pewną ręką brał zakręty poprowadzonej z boczami Magury i Klimczoka górskiej szosy, ale przed samym wjazdem na most, obok wylotu tunelu Wapienickiego, zrobiło się tłoczno. Jadąc ślimaczym tempem w gęsto splecionym sznurze pojazdów nad błotnistym krajobrazem doliny Żylicy, patrzył w kierunku czerepu Skrzycznego, porżniętego bliznami porzuconych tras narciarskich. Spłaszczony wierzch najwyższego szczytu Beskidu Śląskiego jeżył się farmą wiatrową; plany rozbiórki najwidoczniej się przesunęły, bo metalowe monstra powinny były zniknąć już w zeszłym tygodniu.

Ford zjechał wreszcie na główną ulicę Szczyrku i skręcił w kierunku parkingu pod stacją kolejki. Widoczne stąd jak na dłoni smukłe filary mostu, jeszcze nie tak dawno skryte pod wodą, siniały liszajami długotrwałego oddziaływania mokrego żywiołu. Los budowli nie został dotąd przesądzony, podobnie jak licznych przystani i moł, dzięki którym niegdysiejsze miasteczko narciarskie, przeniesione przed zalaniem kotliny wyżej w góry, przedzierzgnęło się w ośrodek sportów wodnych. Konstrukcje stały teraz pozbawione sensu istnienia i smutno wparte podporami w schnące na powrót zbocza. Inaczej dawne trasy narciarskie, straszące wypłukaną przez deszcze kamienno-gliniastą golizną – te władze miasta zamierzały przywrócić do pierwotnego stanu i długości oraz syntetycznie naśnieżyć jeszcze jesienią, by rozniecić na nowo tak kiedyś modną, a teraz na poły zapomnianą dziedzinę sportu i rekreacji.

Ludzie zjechali, zlecieli i zeszli się licznie. Protazy zostawił forda na jednym z ostatnich wolnych miejsc parkingowych i stanął w długim, lecz szybko posuwającym się ogonku do kolejki. Wagoniki śmigały po lśniących rynnach wyłobionych w zboczu Skrzycznego na płaski szczyt. Ostatni raz Protazy był tu lata temu, kiedy przyjechali z Józefem poopalać się, a skończyli w hotelu Peteteka przemoczeni do suchej nitki, bo upalny lipcowy dzień niespodziewanie zasnuł się burzowymi chmurami. Dziś niebo jaskrawiło się błękitem

pozwalającym wierzyć, że tym razem prognozy się sprawdzą.

Zapłaciwszy, przeszedł wraz ze współpasażerami na startowisko i wszedł do wagonika. Jeszcze nie zapiął dobrze pasa, gdy rozległ się bip i pojazd pomknął w górę, wciskając pasażerów w fotele. Protazy przymknął oczy i chwilę słuchał świstu wiatru o szyby. A potem rozległ się kolejny bip i przyszło wysiadać.

Zniwelowany szczyt Skrzycznego pełen był ludzi. Tłum kłębił się u podstaw potężnych słupów. Śmigła wiatraków wciąż mełły flegmatycznie powietrze, wytwarzając drogi i trudny w przesyle prąd elektryczny. Gapie sunęli zwartą masą ku wschodniej krawędzi stanowiącej szczyt równi, skąd rozciągała się panorama kotliny, podskakiwali i wspinali się po słupach, byle mieć lepszy widok. Niektórzy trzymali binokulary, inni obserwowali kotlinę gołym okiem.

Protazy precyzyjnie się do platformy widokowej, ale amatorzy mocnych wrażeń tłoczyli się już tam jak krewetki w kartoniku; musiał poszukać innego miejsca. Skręciwszy, obszedł największe skupisko, zmierzając na ubocze, gdzie jak pamiętał z dawnych czasów, krawędź szczytu łagodniała, umożliwiając dostęp do wyciętych niżej w zboczu tarasów. Nie tylko on wiedział o zejściu, ale wtajemniczonych była garstka w porównaniu z tłuszczą na szczycie. Wkrótce rozsiadł się na kępie trawy wyrastającej spomiędzy kamieni i spojrzał przed siebie, między słupy.

Łagodne wzniesienia Beskidów okalały rozległą szarą nieckę, w której tu i ówdzie lśniły oczka i nitki wody. Środkiem biegła rozgałęziająca się linia głównej drogi dojazdowej. Kotlina Żywiecka była już w przeważającej mierze osuszona, na wyżej położonych działkach najbardziej niecierpliwi zaczęli się już nawet budować. Protazy jeszcze przed wyjazdem z bielskiej willi do Szczyrku połączył się wizualnie z ekipą oraczy przygotowujących jego milóweckie pola do zasiewów. Praca szła zgodnie z planem. Na razie zatopioną przez kilka dekad ziemię należało spulchnić, nawieźć i przywrócić do życia – sporo pracy, ale wysiłek miał się opłacić.

Odcinająca kotlinę od północy zapora stała niewzruszenie, lecz jej godziny były policzone. Protazy spojrzał na zegarek. Za kilkadziesiąt minut budowla miała runąć, umożliwiając odzyskanie cennych materiałów i rekult sporego kawałka ziemi. Byli tacy, co postulowali, by ją zostawić, jeśli nawet nie jako pomnik architektury, który niechybnie za kilka pokoleń stanie się zabytkiem, to - zważywszy na rozmiary powierzchni od strony południowej - jako bazę pod elektrownię słoneczną. Zwyciężyła jednak twarda kalkulacja idąca w parze z troską o przywrócenie pierwotnej estetyki krajobrazowej. Gigant miał wnet runąć w proch.

Protazy wystawił twarz do słońca i przymknawszy oczy, pozwolił myślom płynąć swobodnie. Snuł niedawne wspomnienia i plany na najbliższą przyszłość, zastanawiał się leniwie, w którym ze słynnych szczyrkowskich lokali zje obiad. Raz czy dwa pod powiekami przewinęło mu się rozstanie z Józefem i inne dawniejsze wydarzenia, ale nie zdominowały jego toku myślenia. Rozkoszował się chwilą, czekając cierpliwie, aż rozlegną się pierwsze wybuchy.

Wtem z zamyślenia wytrącił go telefon. Odebrał machinalnie.

– Tak?

– Józef z tej strony – rozległo się cicho.

Protazy zamarł na moment.

– Tak? – powtórzył wreszcie.

– Gienia mnie zostawiła.

Protazy patrzył na budzącą się do życia kotlinę oraz szykującą się na śmierć zaporę i milczał.

– W zeszłym tygodniu agencja rozwiązała kontrakt – ciągnął Józef na pozór beznamiętnie, ale Protazy wiedział, że to tylko gra. – Uznali, że nasza... że moja kompania ma

za małe środki na realizację projektu. To przez podział rozwodowy. – W jego głosie nie było wyrzutu, tylko smutek. – Próbowałem apelować, ale bezskutecznie. Gdy powiedziałem to Gieni... – urwał na jedno uderzenie serca. – Już wcześniej wiedziała, że podzieliliśmy oszczędności – ciągnął zduszonym głosem – ale kiedy usłyszała jeszcze to, odeszła ode mnie. Po prostu odeszła. Była ze mną tylko dla...

Protazy byłby mimowolnie prychnął, gdyby nie krótkie, ale głośnie wycie syreny. Odwrócił głowę ku zaporze w samą porę, by ujrzeć pierwszy błysk. A potem kolejne strzeliły serią wzdłuż całej konstrukcji. Echo poniosło się po kotlinie, krzyki sycących oczy gapiów wzbity się pod niebo, ale wszystko to rozpląnęło się w głuchym, dochodzącym jakby spod ziemi hurgocie. Kłęby ciemnego pyłu wzniosły się nad upadającą zaporę i zakryły ją niczym kirem.

Ziemia drżała długo; jeszcze dłużej między górami telepał się rumor. Kiedy wreszcie ucichł, Protazy uświadomił sobie, że telefon milczy. Patrzył, jak opadający pył rozlewa się po kotlinie, słyszał pełne ekscytacji komentarze tłumów, ale sam siedział bez ruchu. Wreszcie wstał i ruszył ku stacji kolejki. Chciał zjechać, zanim znów zrobi się tłumnie.

Na dole ruszył spacerkiem wzdłuż ulicy, przeskakując wzrokiem od jednej resty do drugiej. Wreszcie upatrzył sobie elegancki lokal KFC. Na parkingu stała cała flota luksusowych pojazdów. Wszystkie były lśniaco czarne – poza wspaniałym ferrari 1410 superamerica. Piękny, ale energetycznie niewydajny lazur aż bił po oczach. Dla szpanowania kolorem chce się komuś ładować akumulatory? pomyślał Protazy, dyskretnie próbując przez odblaskowe szyby dojrzeć kierowcę.

W tej chwili ferrari wydało z siebie głęboki, soczysty pomruk i ruszyło na ulicę z mocą i opanowaniem godnym drapieżnego kota. Protazy przystanął, nie wierząc własnym oczom.

Z czterech rur wydechowych wydostawały się kłęby dymu, wypełniając powietrze pobudzającą zmysły agresywną wonią.

Dopiero kiedy samochód zniknął w perspektywie ulicy, Protazy odwrócił się i wszedł do resty. Prowadzony przez wyfrakówkowanego kelnera w kierunku stolika obok szmerzącej cicho prawdziwej fontanny zachodził w głowę, jakie trzeba mieć pieniądze, by zamiast zmodernizowanych replik zesłomilennijnych samochodów, którymi zadowalali się wszyscy, sprawić sobie autentyk. Nie w pełni jeszcze ochłonawszy, przyjął staroświeckie papierowe menu i zażądał szklanki wody mineralnej „Nongfu“. Dopiero wtedy jego myśli wróciły na właściwe tory. Odchrząknął i pomyślał hasło telefoniczne Józefa.

– Pasuje ci pojutrze w południe pod kliniką? – spytał na powitanie. – Pójdziemy gdzieś porozmawiać... No to w porządku. *Take care.*

– *Sir*, tu obowiązuje zakaz telerozmów – uprzejmie, lecz sztywno ukłonił się kelner.

– Przepraszam, już skończyłem.

– Oto woda.

Podziękował skinieniem głowy i przebiegł oczami menu. Ceny zwały się z nóg, ale przecież bieda nie zaglądała mu w oczy.

Klub COTYNATO mieścił się w podziemiach zabytkowej willi przy ulicy Olikowa. Pastelowe barwy neobarokowej budowli przydawały mu szczególnego stylu. Pierwsze dźwięki klubowej muzyki Protazy usłyszał dopiero schodząc po stopniach. Kiedy wszedł na salę, poczuł nagle na grzbiecie ciężar swoich pięćdziesięciu czterech lat. Za moich czasów, zaczął w myślach i od razu skarcił sam siebie, ale fakt pozostawał faktem – pasował tu jak pięść do oka. Zamiast znanej mu dzikiej galopady przyprawiających o drgawki świateł, lampy jarzyły się intymnym beżem, a zamiast muzyki zdolnej wywołać zwarcie synaps, z głośników sęczyły się melodyjne improwizacje na akordeon i bałajkę. Specjalnie włożył był

najbardziej szalową ze swoich fraków, popielatą i szamerowaną srebrem, ale w sali pełnej młodzieży ubranej w multikolorowe tiszerty i dzinsy niczym ich dziadkowie poczuł się tyleż nie na miejscu, co nie na czasie.

Obrzucił wzrokiem lokal, obejrzał się na drzwi, a potem podszedł do baru i usiadł na wysokim stołku.

– Ajrak – rzucił barmanowi. Nie miał tego trunku w ustach od bardzo, bardzo dawna, ale klubowa atmosfera, choć odmieniona niemal nie do poznania, przywoływała wspomnienia.

Polerujący porcelanowe czarki do koniaku młody mężczyzna zawahał się przez moment.

– Nie prowadzimy – odparł wreszcie.

– Kumys? – spróbował Protazy, ale wyraz intensywnie niebieskich oczu mężczyzny sprawił, że od razu zmienił zdanie. – Sojowego yanjinga...

Barman skinął głową. Po chwili przed Protazym stanął ciepły pojemnik. Barman otworzył piwo jednym palcem i z wysoka nalał białawego płynu do smukłego kieliszka.

– *Voilà*.

Piana zasyczała rześko.

– Szukam kogoś – powiedział Protazy, wychyliwszy kieliszek.

Barman spojrzał pytająco.

– Nazywa się Gienia, Genowefa – ciągnął Protazy. – Młoda, czarnooka *beauty*. Bywa tutaj.

Mężczyzna nalał drugą kolejkę.

– Lutosława będzie wiedzieć – powiedział wreszcie, wskazując za plecy Protazego. Ten obejrzał się.

Przy stoliczku po drugiej stronie sali siedziała młoda kobieta w jaskrawym tiszercie w petunie i begonie, z upodobaniem gryząc dietetyczne orzechy makadamii. Na pierwszy rzut oka przykuwała oko.

Protazy kiwnął głową barmanowi i zabrawszy piwo, ruszył w kierunku kobiety. Podniosła wzrok dopiero, gdy stanął nad stolikiem.

– Mogę się dosiąść?

– Możesz spróbować – wzruszyła ramionami. Zorientował się poniewczasie, że stół jest jednoosobowy. Niezrażony, przystawił sobie krzesło z sąsiedniego stolika i przysiadł się.

– Jestem Protazy.

Skinęła tylko głową, badawczo skanując jego twarz identycznymi piwnymi oczami.

– Szukam kogoś.

– *Oh là là!* A kogo? – spytała, wrzucając sobie do ust dwa orzechy naraz.

– Genowefy.

Uniosła brwi i uśmiechnęła się.

– To ją znalazłeś – powiedziała z pełnymi ustami.

Teraz to on uniół brwi.

– Ty jesteś Lutosława – pół spytał, pół stwierdził.

– *Oui*, ale zajmuję się tym, co Gienia. Dotrzymuję towarzystwa – dodała, gdy Protazy nie reagował. – I robię to lepiej.

Przyjrzał się jej. Na oko miała jakieś dwadzieścia parę lat. Czoło przewiązała zieloną przepaską, z której w każdej chwili opuścić mogła siateczkę, ale nie robiła tego. Czyżby to też wychodziło już z mody? pomyślał, ale nie dokończył myśli, bo pochłonęła go uroda dziewczyny. Rysy miała wyraziste i regularne, w kącikach warg cień tajemnicy, a w sposobie, w jaki strzelając na ukos oczami odsłaniała białka, coś kuszącego. Wytwarzała wokół siebie atmosferę, która sprawiała, że nie oszalałając pięknnością ani nie kładąc na twarz istic gejszowych warstw makijażu, była zniewalająco atrakcyjna. Siedząc w intymnej atmosferze

klubu, oddzielony od tej pociągającej młodej kobiety tylko małym stoliczkiem, Protazy uprzytomnił sobie nagle, że nie może oderwać od niej oczu. Rosły w nim dawno nie realizowane emocje.

Wyczuła to.

– Chyba się nie rozumiemy – potrząsnęła głową i błyskając białkami, odchyliła się na krześle. – Jeśli tego szukasz, trafiłeś pod zły adres. Chyba rzeczywiście trzeba ci Genowefy. Ona ostatnio poluje akurat na takich jak ty.

– To znaczy? – spytał, próbując nadać swojemu głosowi rzeczowy ton.

– Spójrz na siebie.

Już miał pochylić posłusznie głowę, ale zorientował się, że jeszcze chwila i dziewczyna przejmie całkowitą kontrolę nad rozmową. Przywołał na twarz uśmiech.

– W takim razie skontaktuj mnie z nią.

Wrzuciła sobie do ust kolejny orzech i zaczęła chrupać ze zmysłową powolnością. Czekał, nieledwie pożerając ją oczami.

– O ile wiem – powiedziała wreszcie – od niedawna jest wolna i chyba nie pogniewa się na mnie. Ale jakby co, to ze mną nie rozmawiałeś. *Tu comprends?*

– Kompletnie.

– *Passiflore79el.*

– *Thanks* – rzucił i wstał.

Skinęła mu lekko głową, błyskając znów białkami. Ona naprawdę wpadła mi w oko, pomyślał i poczuł, że jeśli nie zwalczy zaraz rosnącej pokusy, plan się zawali.

Nie przeoczyła jego wahania.

– Coś jeszcze? – spytała i rozchyliła wargi, świdrując go oczami.

– A twoje hasło?

Zaśmiała się cicho.

– *Lutka7777.*

Gdy się odwracał, sypnęła mu na pożegnanie perskie oko.

– *Bonne courage.*

Podziękował niepewnym uśmiechem.

Do parku Garugi było parę kroków. Idąc pośród kolorowych kamienic, zapamiętał w telefonie oba hasła. Kiedy znalazł się w szumiącym cieniu podpartych dyskretnymi rusztowaniami prastarych dębów, usiadł na ławce i zadzwonił.

Promienie wiszącego wysoko na bezchmurnym niebie słońca wsiąkały w czerń ulicy, chodnika i schodów. Przesiane przez energochłonne szyby światło rozlewało po wnętrzu kliniki przyjemnie chłodną szarość. Protazy siedział naprzeciwko wejścia, obserwując rondo Frońskiego i odcinek Cieszyńskiej. Zaraz miał stanąć oko w oko z przeszłością, by móc na dobre rozpocząć przyszłość, ale czuł się dziwnie obojętny. Po drodze tutaj obracał w głowie przygotowane słowa, kiedy jednak dotarł na miejsce, przestał o nich myśleć.

Wzrok mimowolnie uciekał mu w górę, gdzie nad szeregami pochylnych budynków widniały skłony wzgórz. Ostra linia łącząca dwa Beskidy zniknęła. Czekając na to, co miało wkrótce nastąpić, próbował przyzwyczaić się do ziejącej dziury w miejscu, gdzie odkąd pamiętał aż do przedwczoraj stała zaporą. Kiedy teraz jeszcze usunie się wiatraki, myślał leniwie, a potem zalesi przecinki, krajobraz będzie – uśmiechnął się blado – jak przed wiekami...

Naraz się zerwał. FSO-CWS 7 torpeda parkował właśnie pod kliniką.

– Idziemy – rzucił i wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Owiało go ciepłe powietrze, oślepił blask.

– Protazy! – zawołał Józef, wstępując na schody. A potem zatrzymał się i oczy wyszły mu z orbit.

U boku Protazego stanęła Genowefa. Chwycił ją za łokieć, patrząc z góry na eksa.

– *Bonjour, Joseph* – powiedziała z perfekcyjnym spokojem.

Józef przeskakiwał zdumionym wzrokiem z Genowefy na Protazego. Z jednej twarzy na drugą. Z oczu na oczy.

– Czerń ładniej komponuje się z błękitem niż z zielenią, co? – uśmiechnął się Protazy, schodząc stopień niżej. Józef wciąż milczał, tylko zdumienie w jego oczach zaczęło ustępować czemuś innemu. – Oj, nie zgrywaj szokniętego – udał zniecierpliwienie. – Sam wiesz, że Gienia była z tobą tylko dla pieniędzy. Teraz to ja mam więcej pieniędzy, więc jest ze mną. *As simple as that*. Ale do rzeczy. Chciałeś porozmawiać. Tu niedaleko jest *cool* resta, porozmawiamy w trójkę. Co ty na to?

To ostatnie wymówił ze szczególnym naciskiem, świdrując Józefa wzrokiem. Ten nie rzekł nic. Protazy zszedł jeszcze stopień niżej, pociągając za sobą Genowefę.

Józef cofnął się. W jego oczach uwyraźnił się ból. Nagle odwrócił się i zaczął iść szybkim krokiem w kierunku samochodu.

Protazy patrzył za nim chwilę.

– Czekaj! – zawołał wreszcie. – Czekaj!

Józef szedł dalej. Nie oglądał się, tylko wtulił głowę w ramiona.

– Józek! Hej! – krzyknął Protazy, a potem puścił Genowefę i pobiegł za eksem. – Stop, zaczekaj!

Dopiero kiedy złapał Józefa za ramię, ten się odwrócił i spojrzał mu w czarno-błękitne oczy.

– Patrz – sapnął Protazy i podniósł dłoń do oka. Czarna soczewka przyłgnęła do czubka palca, a potem spadła na chodnik, bez śladu wtapiając się w nawierzchnię. – Prawda w oczy kole, co?

Józef patrzył eksowi w twarz, nic nie mówiąc. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Teraz wiesz? – syknął nagle Protazy i odwróciwszy się, ruszył sprężystym krokiem w kierunku rogu ulicy.

– Wiem – szepnął za nim Józef, ale Protazy już zniknął za zakrętem. Nogi niosły go szybko i lekko, przepełniało go poczucie tryumfu, radość z odpłaty. Czuł się jak ptak...

Nie – satysfakcja nie była tak pełna i dzika, jak się spodziewał. Czuł już i bał się, że gdzieś w głębi jego jestestwa kłębią się inne, nie tak przyjemne uczucia i lada chwila mogą nim owładnąć. Trzeba było kupić wcześniej, ganił się w myślach, podbiegając do żółtego automatu „Sinoapteki“.

– Memoreko A – zaordynował zduszonym głosem i podstawił drżącą dłoń pod wylot dystrybutora. Kiedy tylko poczuł w palcach saszetkę, rozerwał ją i odchyliwszy głowę, przeciągnął chłodną wilgocią po szyi po szyi. Jeszcze chwila, jeszcze moment, powtarzał sobie. To, co trzeba, co jest dobre, zaraz zostanie wzmocnione i utrwalone na zawsze, to, czego nie trzeba, co jest złe, nieprzyjemne, co narasta teraz w nim, rozwieje się i zniknie. Oparł się o automat i zamknął oczy, starając się z całych sił skupić na tryumfie, który przecież przed chwilą odniósł, na radości, którą przecież teraz czuł, na satysfakcji, którą przecież właśnie otrzymał...

– Co to miało być?

Nieoczekiwany głos odezwał się bolesnym dysonansem. Protazy wyszczerzył instynktownie zęby i unióśł powieki.

Genowefa jeszcze nie zdjęła błękitnej soczewki, ale nie trzeba było patrzeć w oboje jej oczu, by po całej twarzy poznać, jakie uczucia nią targają.

– Najpierw opowiadasz mi, jakie to gospodarstwo agrykulturalne masz mieć – wyrzuciła z siebie jednym tchem – jaki to jesteś bogaty, jak to Józef jest ci winien drugie tyle,

wleciesz mnie tutaj, żeby z nim ponegociować, każesz mi odstawiać twoją *femme*, sypiesz mi piaskiem w oczy, a potem wszystko ot, tak zawalasz i zostawiasz mnie na lodzie! Pytam, co to ma być?

Protazy zagryzł wargi. Powinien być w jakimś spokojnym miejscu, napawając się swoim zwycięstwem, zapamiętując je na zawsze, tworząc zeń definiujący fragment osobowości, a tymczasem musiał angażować się w sprzeczki z...

Przecież nie musiał.

Odwrócił się i ruszył przed siebie bez słowa.

– Hej! – zawołała za nim.

– Zejdź mi z oczu – mruknął, nie odwracając się.

Nie usłyszała albo nie przejęła się, bo po kilku krokach poczuł dłoń na ramieniu.

– Wyeksplikujesz mi to czy nie? – syknęła mu prosto do ucha.

– Chciałem się odegrać, okej? – warknął, odwracając się w miejscu i strząsając jej dłoń.

– Za to, co zrobił mi Józef. Za to, co zrobiliście mi oboje. Uwiodłaś go czy pozwolił ci się uwieść, nieważne, ważne, że postanowił ot, tak sobie, bez mrugnięcia okiem zostawić mnie dla ciebie. Wygarnąłem mu to prosto w oczy, dostał za swoje, a ja mogę zacząć życie na nowo.

Chwilę mierzyła go okiem.

– Tak chyba nie zachowuje się człowiek, którego rozstanie boli, *n'est-ce pas?* – powiedziała wreszcie.

– Skąd ty to możesz wiedzieć – zachnął się i chciał odejść, ale znów dotknęła go w ramię. Coś kazało mu znów spojrzeć na nią.

– Rozumiem wszystko – powiedziała i uśmiechnęła się. Łagodne łuki jej twarzy rozciągnęły się kunsztownie. Nagle uświadomił sobie, że czern i błękit rzeczywistości stanowią doskonale dobraną parę. – Nic mi to nie przeszkadza. A nawet – nachyliła się i tchnęła mu ciepłem w policzek – podoba mi się.

Odsunął się z bijącym sercem. Stała nadal lekko pochylona, otwarta, bliska, zachęcająca. Jej twarz, jej całe ciało emanowało akceptacją, obietnicą, pokusą. Jeszcze przez chwilę czytał w jej oczach, czując, jak narasta w nim mdlejąca – a może piekąca? – słodycz. A potem zacisnął zęby, odwrócił się i odszedł szybkim krokiem.

Nie podążyła za nim.

Słońce zachodziło nad dachami sąsiednich willi i koronami ozdobnych drzewek, taras pogrążał się w cieniu. Protazy sięgnął po pojemnik stojący na wyciągnięcie ręki na antracytowych płytkach posadzki i wysączył ostatnią kroplę piwa sojowego. Powoli odkrywał dobre strony samotnego życia. Nie chciał już byle prędzej opuszczać willi w Romskim Lesie. Kiedy stanie dom w Milówce, wtedy się zobaczy...

Powiał chłodniejszy wiatr. Protazy westchnął i wstawszy z leżaka, ruszył ku otwartym drzwiom.

Nie zdążył wejść, gdy poczuł, że dzwoni telefon. Zawahał się, poznawszy, kto to. Przez chwilę sondował własne uczucia, a potem odebrał.

– To ja. Nie przeszkadzam?

Józef mówił spokojnie, jednak nie dzięki pokojowi duszy, tylko ujarzmieniu emocji. W tle niemal słychać było, jak rozciera w palcach bokobród.

– Nie – rzucił Protazy i czekał.

– Dzwonię, żeby... – głos zadrzał – przeprosić. Uświadomiłeś mi dziś, co ci zrobiłem. Zabolalo mnie bardzo, ale należało mi się. Byłem głupi. Dla jej pięknych oczu zrujnowałem... Zresztą sam wiesz... – urwał. – Ech, przygotowałem sobie, co mam ci powiedzieć, ale teraz

się wszystko posypało... Słuchasz?

– Tak – odparł głucho Protazy. Czuł, że coś w nim narasta, nie wiedział jednak jeszcze co.

– To dobrze. Punkt jest taki, że chciałbym... Zastanawiam się, czy... Może byśmy jeszcze raz spróbowali? – Nagle przyśpieszył: – Wiem, że cię skrzywdziłem, ale się zrewanżowałeś, otworzyłeś mi oczy, zrozumiałem, kim tak naprawdę jesteś w moim życiu...

– Józef – przerwał Protazy. Przez krótką chwilę jakiś żal czy tęsknota próbowały przebić się na powierzchnię jego uczuć, ale teraz ze wzmocnionym farmakologicznie impetem wróciły doń tryumf, radość i satysfakcja. – Nie. *It's over* – rzucił i rozłączył się.

Ostatni skrawek słońca zniknął za dachem sąsiedniej willi, ostatni złocisty błysk przestał walczyć o przetrwanie na wszechpochlaniającej czerni ścian. Od północy zaczęły nadpływać chmury. Wnet miało zrobić się ciemno choć oko wykol. Protazy stał jeszcze przez moment bez ruchu, a potem wszedł do domu i skierował się do kuchni.

Ustalając kolację, rozkoszował się dzisiejszym zwycięstwem, ale niebawem jakieś inne uczucie, utrwalone wtedy przy automacie „Sinoapteki“, zaczęło brać nad nim górę. Dłuższy czas badał je ostrożnie, nie wiedząc, czy może mu zaufać. Jedzenie przestało go interesować. Wreszcie trochę wbrew sobie, a trochę wbrew wszystkiemu aktywował telefon.

Miał dwa hasła, z których mógł skorzystać.

Wróciły doń błyskające białka i czarne tęczówki.

Namysł trwał kolejną, lecz już ostatnią chwilę.

Passiflore79el, pomyślał i czekał w napięciu.

Kiedy odebrała, z całą utrwaloną farmakologicznie mocą poczuł mdlejącą – a może piekącą? – słodycz.